№ 29 WARSZAWA d. 6 (18) Lipca ROKU 1874

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15 – w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera; – W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

BEZ TYTUŁU.

Kiedy spoglądam na ogrom świata,
Zewsząd natury powabna szata
Bawi mój umysł, zachwyca duszę
Tak że niechcący cieszyć się muszę.

Lecz skoro myśl swą zwracam na ludzi,
Uczucie żalu w sercu się budzi.

Wierzyłam kiedyś w szczęście na ziemi,
W miłość prawdziwą i w serc ofiary;
Dziś znikł już urok z barwy złudnemi,
I żal mi mojej dziecięcej wiary!...

Żal mi tych ludzi, co w dzikim szale
Przyszłego życia niszcząc nadzieje,
I w bezbożności nurtując kale,
Nowe postępu głoszą idee.

Żal mi tych którzy kosztem sumienia
Kalając świętą przeszłości księgę,
I poniżając godność stworzenia,
W Stwórcy chcą zatrzeć moc i potęgę!

Żal mi bezmyślnych, co wiary drogą
Po nad pył ziemi wznieść się nie mogą;
Których, pomiędzy idei mnóstwem,
Realizm hasłem, a pieniądz...bóstwem!.

Emilija N.

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMJĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

I.

TRZY CIENIE.

Aby dać czytelnikom topograficzny i malowniczy obraz wdzięcznego bretońskiego miasteczka Quimperlé, dostatecznem będzie opisać jego dwa główne kościoły. Na wyniosłem wzgórzu, kościół Najświętszej Panny sięga ku chmurom swoją wysmukłą, ciemną wieżyczką, panując zarazem nad całem miasteczkiem malowniczo u stóp wzgórza i w dolinie rozrzuconem. Wśród doliny, wspaniale zasiadł kościół Świętego Krzyża, nad którego kopułą w stylu maurytańskim, unoszą się mgły z wód Elli i Izoli. Te dwie śliczne rzeczki swobodnie płyną w dolnej części miasta. Nie zbaczając z raz obranej drogi poruszają koła kilku młynów, mułem okrywają mury nadbrzeżnych budowli, a balkony strojniejszych domów w ich wodach się przeglądają; głównie zaś służą za pole zarobków i popisu rybakom i praczkom miejskim. Jeszcze przed opuszczeniem miasta, bystre wody Elli łączą się ze spokojnemi nurtami Izoli i tworzą Letę, która stawszy się spławną, w wdzięcznych skrętach dąży do morza. Jak srebrzysty wąż wije się ona wśród zielonych łąk i wspaniałych drzew pięknego lasu Karnoët, a kapryśnym swym biegiem głównie się przyczynia do ozdobienia krajobrazu.

Oprócz tych rzeczułek, miasteczko Quimperlé posiada ulice i uliczki, a nawet i mosty bardzo malownicze, szczyci się swym starym mostem Gorreker zwanym, a opiewanym niegdyś przez miejscowego poetę Brizenz i swą zamkową ulicą. Wiadomem jest, że każde bretońskie miasto musi mieć swą przeszłość wojowniczą, a więc posiada Zamek i ulicę Zamkową pochodzenia rycersko arystokratycznego.

Na tej to Zamkowej ulicy, w piękny kwietniowy poranek, około godziny dziewiątej, zatrzymujemy się przed dwoma dziwacznej budowy domami; wyglądają one jak bliźnięta i po bratersku wzajemnie się wspierają. Ci dwaj poczciwi staruszkowie umieścili się właśnie naprzeciw poetycznych szczątków powyżej opisanych, i gdyby rzeźby pierwszych, a granitowe płyty drugich mówić mogły, zgodność ich wspomnień przekonałaby nas, że z jednej pochodzą epoki. Na nieszczęście, jeden z dwóch domów zawstydził się swej starości i nie mogąc opuścić towarzysza, postarał się przynajmniej odróżnić się od niego: odnowił więc dach, zniżył kominy, zniósł ponurą żelazną kratę w dolnem piętrze i zardzewiały młotek u drzwi, wchodowych, znikła też i chorągiewka w kształcie pół księżyca, ganek się podwyższył, kraty u okien rozszerzyły, jednem słowem niczego nie zaniechał aby przybrać odmienną postać od swego sąsiada, który nic nie zmienił, nie umalował, nie zniósł, a mimo tego o wiele sympatyczniej wyglądał w swych sędziwych, popielatych i zakurzonych wstęgach, niż towarzysz jego w różowe przystrojone barwy, źle jednakże zmarszczki starości ukrywające. Wprawdzie tak odświeżony, posiadał jeszcze nad drzwiami wielką miedzianą blachę z napisem, oznaczającem mieszkanie notaryusza, co po części tłomaczy i jego odmłodzenie bo przecież notaryusz z postępem wieku iść musi.

Ale przejdźmy dalej nie zwracając nawet uwagi na te duże, zwyczajne szyby u okien, a zajrzyjmy w te

drugie małe okienka, tak nęcące naszą ciekawość swoją tajemniczością; wstąpmy na te kilka kamiennych nierównych i wyślizganych schodów, z których najwyższy i najwęższy chełpi się mianem progu: uchylmy te ciężkie drzwi z lekkim otwierające się jękiem, wejdźmy w ten długi korytarz oświetlony słabym promieniem słońca, i zatrzymajmy się w tym pokoju tak biednie, spokojnie i milcząco wyglądającym, a w którym znajdują się trzy kobiety a raczej trzy cienie. Pierwsza z nich widocznie do ostatniego kresu życia dochodzi, głowa jej długa a wązka owinięta jest chustką w staranne fałdy ułożoną, mało zmarszczków widzieć się daje na jej czole, pokrytem błękitnemi żyłkami i na jej pargaminowéj twarzy, ale są one cienko i głęboko wyryte, nigdy dłuto nieubłagane czasu na żadnem ludzkiem obliczu bardziej się nie uwydatniło. Z po za szerokich szkieł jej okularów w ciemny szyldkret oprawnych, oczy jej rzucają silne lecz chwilowe tylko światło, nos niegdyś piękny doszedł z wiekiem do nadzwyczajnej cienkości; usta szczelnie zamknięte, zdają się skazywać na nieruchomość ostrą brodę, dopełniającą całości tego kamiennego oblicza. Postać jej chudą i sztywną okrywają fałdy sukiennej ciemnej sukni; biała mocno nakrochmalona kryza podtrzymuje podbródek, a czarny wytarty szal i szeroki fartuszek z błękitnego płócienka dopełniają ubrania: z pod sukni wygląda drewniany trzewik, jakich miejscowe wieśniaczki używają, a który opierając się o pedał hebanowego kołowrotka z ozdobami z kości słoniowej, szybko i równo kółko porusza.

Drugi cień to kobieta wieku nieokreślonego, może nie ma jeszcze lat czterdziestu a może przeszła już nawet lat sześćdziesiąt. Ta postać blada, skromna, o włosach bezbarwnych, oczach bezbarwnych, cery bezbarwnej, sukniach bezbarwnych, przygasła i jak martwa, całą myślą zatopiona jest w drutach pończochy, którą w téj chwili w rękach swych trzyma. Na jej to nitce białej cały jej widnokrąg się zamyka, ona dalej nie patrzy i nic dalej nie widzi.

Trzeci cień mógłby być umieszczony przez Fra: Angelico w gronie aniołów, nad któremi się wszyscy zachwycają w kaplicy San Lorenzo w Rzymie: i to kobieta, lecz kobieta, młoda i cudnie piękna, ale tak poważna i zamyślona jakby nią być nie chciała. Na jej białem i jasnem czole widnieją święte i słodkie myśli: jej spojrzenie zarazem głębokie i niewinne, jakby tylko w przelocie spoczywa na ludziach i przedmiotach ją otaczających: usta karminowe choć nie zaciśnięte lecz przymknięte są w sposób wiele znaczący. Widocznie w tem wątłem ciele, w tej przezroczystej i jakby nadziemskiej postaci, ukrywa się dusza pełna energji i życia. Ubranie młodej dziewczyny starszem jest nad wiek jej, pozbawione wszelkiej kokieteryi, w swej prostocie wdzięku jednakże nie wyłącza. Te trzy kobiety uosabiające trzy pory roku; zimę, jesień i lato, mało się swym strojem różniły i każda z nich nosiła lekką tylko cechę epoki, w której moda choć mimowolny wpływ na nie wywierać mogła.

Nareszcie najpoważniejsza; podniosłszy okulary utkwiła w najładniejszą, która naprzeciw niej siedziała, spojrzenie bez ciepła, bez światła, bez życia, lecz obdarzone nadzwyczajną siłą myśli.

— Anno, odezwała się głosem suchym i przytłumionym, właściwym osobom żyjącym w samotności i nawykłym do milczenia czy mówił ci Henryk o artykule wypowiadania prawa własności gruntowej?

Dwoje błękitnych oczu, którym młodość nadawała wpływ magnetyczny i świetny połysk emalji, podniosło się na pytającą i głosem cichym, wolnym ale srebrzystym, młoda dziewczyna odpowiedziała:

— Nic mi ciotko Katarzyno nie mówił.

Poważna postać, starannie szkiełka okularów o swój fartuszek obtarła, na nos je nałożyła, wyschnięte palce od ust do lnu przeniosła, a opierając nogę o pedał znowu się odezwała:

— Henryk nie będzie nigdy notaryuszem takim jakby należało.

— Bo też moja ciotko, nigdy no swego powołania nie lubił, odrzekła Anna.

Usta panny Katarzyny rozwarły się po raz drugi, i cicho lecz dobitnie tych kilka słów wyrzekła:

— Obowiązek swój zawsze lubić trzeba.

— Tak, tak, wyjęknęła postać bezbarwna dwa razy głową poruszając, ale Henryk młody, Henryk bardzo młody, Henryk.....

I na tem słowie zamilkła, nie wiedząc co więcej o Henryku powiedzieć, ale przekonana że go choć w części wytłomaczyła.

Wysokie szlarki u czepka panny Katarzyny niespokojnie się poruszyły, co oznaczało pewny wewnętrzny niepokój.

— Henryk zniechęca się do Quimperlé, Maryo-Ludwiko, szepnęła przząść nie przestając.

Marya-Ludwika spojrzała w okno, na rozwaloną arkadę która się wdzięcznie zarysowała na niebios lazurze, i wzrokiem pełnym przerażenia zdawała się mówić:

— Zniechęcić się do Quimperlé! czyż to być może?

Byłaby zapewne myśl swoją energiczniej słowami poparła, ale poruszenie Panny Katarzyny zamknęło jej nagle wybladłe usta, które się już zwolna roztwierały.

— Anno, powiedziała panna Katarzyna, pójdź obacz czy Henryk jest w biórze, i niech ci da swoje wypracowanie o tym fascykule w żółtej okładce, o prawie wypowiadania własności gruntowej.

Postać zwana Anną powstała z miejsca, a podniosłszy się okazała wysmukłą i giętką kibić, wyprostowaną z woli i nawyknienia; wiotką jak trzcina ale trzcina stalowa, i starannie ułożywszy na krześle przed nią stojącém drobne swe przyrządy do szycia, lekkim krokiem ku drzwiom się zwróciła, cicho je otworzyła i równie cicho wyszła za sobą je zamykając.

II

NOTARYUSZ.

Młoda dziewczyna przeszła długi korytarz źle oświetlony zakratowaném okienkiem, otworzyła ciężkie drzwi w łuk sklepionym odźwierku i opatrzone w żelazne rygle, weszła w dziedziniec służący za wejście do ogrodu, po za którym szemrała błyszcząca Izola, znowu otworzyła podobne drzwi do pierwszych w grubym murze wiezyczki wybite, weszła na wązkie, kręcone schody, i znalazła się w pokoju bardzo dużym, bardzo brzydkim i bardzo ciemnym. Dwa nierówne okna o starożytnych szybach, źle oświetlały obicie z tysiącznych kwiatów i barw spłowiałych, w głębi przybite półki do ściany dźwigały całą bibliotekę starych, wyżółkłych, zakurzonych szpargałów noszących nazwę aktów, i kopji, i brulionów prawnych: drukowane ogłoszenia wszelkich kolorów, okrywały drugą część ściany bez żadnéj symetryi i harmonji w cieniach; trzy zapylone kalendarze smutnie kiwały się między oknami, a szerokie biórko spoczywało na nierównych taflach posadzki.

Stary wieśniak o długich włosach i dwie młodsze wieśniaczki o to biórko oparte, zajęci byli trudnym bardzo rachunkiem. Pieniądze z wielką przykrością wyciągnięte z kieszeni starego wieśniaka lub wybrane z chustki w kraty jednéj z wieśniaczek, były obmacywane, liczone i przeliczane przez ich właścicieli. Z jakimże żalem luidor kładł się na luidorze, pięcio-frankówka na pięcio-frankówce. Z jakim to uszanowaniem obracano w szorstkich palcach i oglądano bilet bankowy, mający zająć swe miejsce na biórku! To leniwe i bolesne zajęcie mogło jednakże zniecierpliwić notaryusza, przed którym miało ono miejsce; ale notaryusz na wpół leżąc na swém krześle z oczami do góry wzniesionemi, zdawał się więcéj zajmować belką u sufitu jak ludźmi którzy go otaczali.

Twarz jego niedbale na promienie światła wystawiona, pełna jest wyrazu i głębszej myśli. Wszędzie widnieje ona: w tych włosach czarnych i miękkich, falujących, w tył odrzuconych, odsłaniających nizkie ale wydatne i szerokie skronie, które zdają się jeszcze bardziéj rozrzerzać pod rozkwitem i naciskiem obecnéj myśli, w tych cienkich i wygiętych nozdrzach które się za każdym oddechem rozszerzają, w tych ustach tak delikatnie wyrzeźbionych; w téj gęstej brodzie która tak szlachetnie rysy jego okala nie psując czystości i harmonji linji; ale szczególnie w tém spojrzeniu, ileż to wyrazu, ile potęgi, że martwa belka zdaje się nawet ulegać jej w téj chwili.

Nie, mylić się niepodobna, ten napis nad drzwiami, ta bibljoteka z akt urzędowych złożona, te różno-kolorowe ogłoszenia, biórko, kalendarze, wieśniacy, wszystko to nam mówi, że Henryk Darganec (Darganek) jest notaryuszem; ale to pewna, że Henryk Darganec z tą szlachetną postacią, z temi rysami orlémi, z temi dumnie wygiętemi ustami i z wzrokiem błądzącym w przestrzeni, bardzo jest dalekim od powszechnie znanego typu nataryusza.

— Oto już wszystko panie Darganek, powiedział nareszcie wieśniak, jedną ręką drapiąc się w głowę a drugą wywracając ze smutkiem pustą kieszeń, z któréj wszystko złoto wydobył: nie mam już ani grosza.

Henryk do rzeczywistości nagle przywołany, wyprostował się na swém krześle, oczyma bardzo szybko przeliczył leżącą przed nim pieniężną sumkę, otworzył szufladę, rzucił raczéj niż ułożył to wszystko, i nie mówiąc słowa pożegnał wieśniaków wdzięcznym uśmiechem, nadającym jego męzkiéj twarzy coś szczególnie pociągającego.

Uprzejmość posunął aż do odwrócenia się i odpowiedzenia skinieniem głowy, na wszystkie oznaki grzeczności oddane mu przez jego klijentów, wtenczas to spostrzegł wchodzącą siostrę.

— To ty? powiedział.

— Tak, ja, odpowiedziała Anna zbliżając się do biórka.

Stanąwszy przy bracie, położyła na jego czole swoją wązką i białą rączkę, która na tem ciemném czole wydała się jakby przepaska z kości słoniowej.

— Zdajesz się być zmęczonym? zapytała.

— Więcej już wytrzymać nie mogę, ale jak zimna jest twoja ręka, i gwałtownie potrząsnął głowę? i jakby się chciał pozbyć tej białej rączki do skroni jego przylgniętej, wstał i z rękoma w kieszeniach, z głową spuszczoną zaczął się przechadzać od półki z aktami do biórka, od biórka do półki.

Wzrok Anny ciągle go śledził, był on jak jasny i ciepły promień, jak magnetyczny łańcuch czystej i głębokiej miłości, ciągnący się za młodym człowiekiem aż w głębi tego ciemnego pokoju.

— Ciotka Katarzyna, przysyła mnie do ciebie Henryku z poleceniem, odezwała się Anna chcąc przerwać milczenie.

— Ach! czego chce ona?

— Chce wiedzieć, czy gotowe jest wypracowanie co do fascykułu w żółtej okładce, o prawie wypowiadania własności.

Henryk wzniósł ramiona w górę z wyrazem rozpaczy.

— O nieba! zawołał, ona chce mnie do szaleństwa doprowadzić z tem swojem wypowiadaniem własności. Ależ to kwestya przedpotopowa. Nikt we

Francyi prócz ciotki Katarzyny nie ma myśli o wskrzeszaniu tego nieboszczyka.

Wierzaj mi Anno że to prawdziwa monomanija.

— Być może; w jej wieku tak się żyje przeszłością.

— Zapewne, ale dla czego chcieć i drugich pod temi prochami zagrzebać?

Na te wyrazy, piękne oczy Anny nic prócz zadziwienia nie wyraziły.

— Zawsze okazujesz zdziwienie moja Anno? rzekł Henryk przygryzając usta, czyż nigdy mnie nie zrozumiesz?

— W tym przedmiocie nigdy! Jeżeli nie mogę odmłodzić wyobrażeń ciotki Katarzyny, nie mogę też zapomnieć i jej poświęcenia.

— Któż zapomina o niem? zawołał Henryk z żywością, i zaraz dodał z uśmiechem:

— Bądź pewną, że byłbym pierwszym do zachowania w tradycyi rodzinnej historyi czerwonego parasola i trzewików ciotki Katarzyny w kształcie starożytnych kotarnów.

Całe Quimperlé wiedziało, że panna Katarzyna będąc ubogą przez lat trzydzieści, używała jednego i tegoż samego parasola, i przez trzydzieści lat obchodziła się jedną parą trzewików odwiecznej formy.

Ten czyn heroicznej oszczędności, był jedną z anekdotek najchętniej w mieście opowiadanych.

— Ile to jednakże było poświęcenia w tych drobnych szczegółach życia powszedniego! powiedziała Anna siadając przy biórku.

— Jej życie, odrzekł Henryk głosem wzruszonym, jej życie tak ciche i pokorne, jakże przytem było wspaniałe i heroiczne! Dla każdego jej białego włosa mam największą cześć, tylko tego darować nie mogę, że zrobiła ze mnie notaryusza.

I piękne usta młodego człowieka z niechęcią się skrzywiły na tę niemiłą dla niego nazwę.

— Ciotka Katarzyna tylu się aktom napatrzyła, z tylu papierami miała do czynienia dla zapewnienia nam naszej fortunki, że w końcu upodobała sobie to zajęcie, któremu już nie jeden w naszej rodzinie się oddawał i zaszczytnie prowadził.

— Nie, odrzekł Henryk z żywością, w tym długim wywodzie genealogicznym często przez ciotkę wspominanym, widzę szlachtę żołnierzy a zaledwie trzech notaryuszów i to w czasach przejściowych.

— A nie jesteśmyż teraz w całej pełni epoki przejściowej, Henryku?

— Z woli naszej ciotki. Gdyby mnie była nie oddawała do kolegijum ś-tej Anny, mógłbym był zadość uczynić memu powołaniu i przypasać miecz jaśniejący na tarczy herbowej starych Darganeków. Czyż się nie oparła memu wstąpieniu do wojska? Mając już od dawna ułożony projekt w swej twardej bretońskiej głowie, nie chciała od niego odstąpić i z nudów w nudy doszedłem do tych najwyższych nudów: być notaryuszem.

— Zdaje mi się mój ty dumny Henryku, powiedziała Anna z łagodną ironiją, że przesadzasz nieco w twej nienawiści do interesów, nie sądziłam ażeby ona była tak głęboką.

— Interesa, powtórzył Henryk podnosząc swą wspaniałą głowę, oh! ja lubiłbym interesa, lecz tylko wielkie wyczerpujące najpotężniejsze zdolności, pochłaniające najżywszą czynność, ale nie te nędzne maluczkie nieznośne interesiki, będące udziałem notaryusza w Quimperlé: ten jednostajny ciąg nieznośnych formułek, ten labirynt nędznej procedury ciągle się powtarzającej, nie zasługuje nawet na to miano. Gdzieindziej notaryat dla człowieka z intelligencyą może być szerokiem polem działania, w Quimperlé jest on tylko synekurą, machiną, głupstwem!

— Biedny Quimperlé odezwała się Anna, jak on ci już cięży!

— Tak! przepędzać pół dnia pod tą spróchniałą belką, przed tem starem biórkiem, przechadzać się z Zamkowej ulicy do Bourg-Neuf a z Bourg-Neuf do Zamkowej, jest dla mnie nie do zniesienia, zabijającem!... Wiesz Anno, dodał krzyżując ręce na piersiach i stając przed nią, jest czas na wszystko. jest i przyczyna wszystkiego. To życie ślimacze nie może mi dłużej wystarczać; mam go już nadto!

— Czuję to, odpowiedziała Anna z westchnieniem, widziałam jak znudzenie w sercu twém powstawało, widziałam tysiące postanowień w myśli twéj stopniowo się wylęgających. Co dzień śledziłam wyraz twojéj twarzy, z dniem każdym coraz więcej lękając się o ciebie.

— Pojadę! mówił Henryk, tak jest. pojadę! Jeżeli Franseza de Kérouarn mnie odrzuci, wyjadę natychmiast!

Anna pobladła.

— Wytłomacz się Henryku! zawołała po chwili.

— Mój Boże, Anno, wszak wiesz, że nadzieja posiadania Fransezy de Kérouarn jest rzeczywistym jedynym powodem méj cierpliwości. Jeszcze tego dnia w którym byłem z tobą w Koat-an-Abat trzy lata temu, plan mój był zrobiony. sam sobie odwrót zamknąć miałem, czyli postanowiłem oświadczyć ciotce Katarzynie, że pragnę sprzedać tę posadę notaryusza którą mi niby jak łańcuchem z kwiatów zarzuciła na szyję a która dla mnie jest obrożą kolcami najeżoną. Na widok Fransezy, postanowienie moje się zachwiało, opuściłem zręczność sprzedania notaryatu i marząc o znalezieniu szczęścia w Quimperlé, osądziłem że żyć w niém będzie można. Dziś, chcę już raz skończyć z tą dręczącą mnie niepewnością. Franseza otoczoną jest rojem kuzynów, którzy się o jéj rękę ubiegają. Gdy wyjdzie za mąż Quimperlé stanie mi się nienawistném ;trzeba raz więc skończyć! Ty jesteś najlepszą z sióstr; pomów o tém z ciotką Katarzyną, staraj się ją nakłonić aby zaniosła prośbę w mojém imieniu i co do wydziału majątkowego była wspaniałomyślną, jak otem sama nie raz mówiła. Niech wiem już czego się trzymać.

— A jeżeli ci odmówią. Henryku?

— To za tydzień, na murach Quimperlé i innych miast sąsiednich czytać będą: *Posada notaryusza do sprzedania.*

— I co z sobą zrobisz?

— Nie wiem jeszcze. Różne mi czynią propozycye. Ludwik Baryot namawia do Paryża. tam nawał interesów mnie zajmie, zagłuszy.... Czy podejmujesz się uprosić ciotkę Katarzynę aby pomówiła z panem de Kérouarn? Od dzieciństwa uczy nas, że z najszlachetniéjszéj krwi w Quimperlé pochodzimy, pan de Kérouarn wszystkim znów mówi, że córki nie sprzeda temu kto da najwięcéj: a zdaje mi się ... sądzę że Franseza jest mi przychylną. W tych warunkach, można poprobować szczęścia, nieprawdaż?

— Więc to co mi mówisz na dobre już postanowiłeś Henryku?

— Tak jest, moja Anno.

— Kiedy tak, powiedziała wstając, dziś jeszcze o twych zamiarach z ciotką pomówię. Gdyby notatki o wypowiadaniu własności były gotowe, dodała, byłby to dobry początek do tej rozmowy.

Poczekaj, rzekł Henryk z żywością, poświęć mi jeszcze pięć minut.

Usiadł przy biórku i wziąwszy z półki jakąś zżółkłą wypłowiałą broszurę, przerzucił ją szybko a chwyciwszy pióro, zapisał jednym tchem trzy arkusze papieru które oddał siostrze mówiąc:

— Franseza de Kérouarn, ale Franseza jedna tylko, pamiętaj to dobrze, mogłaby mnie nakłonić do podobnego zajęcia przez całe życie.

Anna smutnie się uśmiechnęła i darząc raz jeszcze Henryka spojrzeniem pełnym nieskończonéj i tkliwéj miłości, wyszła z pokoju.

III.

W BUKSZPANOWEJ ALTANCE.

Panna Katarzyna od wschodu słońca do kołowrotka przykuta miała jednakże swoją godzinę przechadzki i odpoczynku.

Zaraz po obiedzie, który miał miejsce o samém południu, szła do wązkiego ogródka rozciągającego się nad płaskim brzegiem Izoli. A ponieważ od kilku miesięcy wzrok jéj dziwnie osłabł, nie mogła więc dobrze rozróżniać kamieni oddzielających ścieżkę od wody, co mogło być niebezpiecznem, bo Izola często niespodzianie wzbierała; w tych zatem przechadzkach zwykle jéj towarzyszyła siostra lub synowica. Właśnie tego dnia Anna w godzinie popołudniowej szła ścieżką nad brzegiem rzeczki obok swej starej ciotki. Panna Katarzyna miała wyraz mniéj surowy niż zwykle, i natychmiast wypowiedziała Annie przyczynę swego zadowolnienia.

— Anno, przeczytałam wypracowanie Henryka, powiedziała, prześliczne! co za styl gdy zechce!...

— Bardzo się cieszę że ciotka zadowolniona, odpowiedziała Anna w zamyśleniu pogrążona.

— Muszę nią być. Henryk jak wszyscy młodzi ludzie, więcéj się zajmuje sprawami teraźniejszemi jak dawniejszemi, a jednakże, ta kwestya taka zawikłana, taka trudna o wypowiadaniu własności, opracował ją, można powiedzieć, po mistrzowsku.

— Ciociu, woda, woda! woda! zawołała Anna chwytając za szal pannę Katarzynę, która nie uważając zboczyła ze ścieżki.

— Woda przybrała dzisiaj! zawołała zdziwiona, z jakiej to może być przyczyny?

Rzeka była dla panny Katarzyny rodzajem barometru, którego zmiany z ciekawością śledziła.

I poszła dalej, rozmyślając dlaczego woda przybrała. Czy otworzono szluzy w Wielkim-Młynie, czy to wylew stawu Roz-Gnewu był tego przyczyną, czy też deszcz poprzedniej nocy?

Nareszcie zapytała Anny. czy silny deszcz padał w nocy?

— Wielki. odpowiedziała Anna: mało spałam po północy a deszcz padał do samego rana.

— Anno, więc to zapewne z powodu deszczu.

— Zapewne ciociu.

— Teraz, daleko częściej deszcz pada niż dawniej, nie wiem czy się mylę ale i pory roku zdają mi się brać udział w zmianach i nieporządku ogólnym.

Te słowa zapowiadały Annie że jej szanowna ciotka zapuści się w nieskończoność swych porównań teraźniejszości z przeszłością. pośpieszyła więc nadać rozmowie kierunek odpowiedniejszy jej zamiarom.

— Henryk będzie bardzo szczęśliwy, gdy usłyszy pochlebne wyrazy cioci o pracy jego.

— Pochwalam i bardzo pochwalam. Styl Henryka jest młody, nie jest to styl dawny, ale kwestyę rozumi dobrze, objaśnia ją, upraszcza.

Panna Katarzyna zatrzymała się, ręce skrzyżowała i energicznie trzęsąc głową dodała:

— Gdyby Henryk chciał, miałby wielką zdolność do interesów prawnych.

— Zechce, ciociu, nie dziś to jutro, zechce z pewnością

Panna Katarzyna dalej postępowała.

— Nie, mówiła, myśl jego jest gdzieindziej, roztargniony, leniwy, lubi polowania, spacery; nie, nie, nie spełni on moich nadziei. A jednakże mógłby być z niego człowiek.

— Czy cioci nie przyszedł nigdy na myśl sposób zatrzymania go na zawsze między nami?

— Używałam różnych sposobów dla wzbudzenia w nim zamiłowania do interesów, ale dotychczas mó-

wi tylko o nich z pogardą lub lekceważeniem właściwem temu stuleciu.

— A jednakże jest jeden o którym zapewne ciocia nie pomyślała jeszcze.

— Jakiż to?

Gdy panna Katarzyna tonem urwanym to zapytanie wymawiała, znajdowała się nad brzegiem Izoli, pod cieniem starej już altanki z bukszpanu ocieniającej tę część ogrodu.

Dwa duże kamienie źle obrobione, tworzyły ławki które odwiecznemi nazwać byłoby można.

— Gdyby ciocia chciała usiąść, powiedziała Anna, powierzyłabym jej małą tajemnicę.

Panna Katarzyna zwróciła się do ławki po prawej stronie umieszczonej i usiadła. Anna przy niej miejsce zajęła i swoim słodkim przekonywającym głosem mówić poczęła.

— Gdyby się Henryk ożenił, przekonaną jestem żeby sobie upodobał Quimperlé i więcej się do interesów przywiązał.

— Mężczyzna nie powinien myśleć o ożenieniu, dopóki swoją własną pracą bytu sobie nie zapewni, sucho odpowiedziała panna Katarzyna; niech najprzód pracuje a potem się żeni. Z tą posadą którą mu dałam, Henryk może dojść do niezależności, lecz on nie chce tego.

— Bo nie miał dotąd żadnego stanowczego planu moja ciociu, bo żadne uczucie nie nakłaniało go do małżeństwa, dziś to co innego.

— Ach! więc wybór już uczynił?

— Tak, ciociu. Nie wiem czy go pochwalisz, bo co do mnie, znajduję go nierozważnym.

— Każdy związek jest rzeczą ważną, powiedziała panna Katarzyna, która zdawała się być wzruszoną, o kim że Henryk myśli?

— O Fransezie de Kérouarn.

Panna Katarzyna zadrżała jakby iskrą elektryczną uderzona, ale wracając do pierwotnej swej surowości oblicza i postawy, rzekła.

— Dziedziczka z Koat-an-Abat? rzekła wznosząc oczy ku sklepieniom z bukszpanu.

Nastała chwila milczenia.

— Pan de Kérouarn miał jak mi się zdaje, kilkoro dzieci? zapytała nagle panna Katarzyna.

— Troje, lecz została mu tylko jedna, Franseza.

— Jakiż jest jego majątek?

— Dwanaście czy piętnaście tysięcy franków dochodu.

I znowu milczenie zapanowało.

— Tak, mniej więcej, przemówiła dalej panna Katarzyna; ci Kerouarnowie mają najpiękniejsze dobra w całej okolicy. Do kogo podobna dziedziczka?

— Do swego ojca, zdajemi się przynajmniej.

— Marya-Ludwika mówiła mi to często i powtarzała, że to Kérouarn przypomina swoją babkę która była moją rówienniczką. Byłoby to piękne małżeństwo.

— Ale niemożebne, jakże ci się zdaje ciotko Katarzyno?

Panna Katarzyna z żywością głowę podniosła.

— Nie lubię mezaliansów, powiedziała, i gdyby dawni Darganekowie nie warci byli w swoim czasie Kerouarnów, nie chciałabym się mieszać do tej sprawy.

— A przytem Henryk tylu przymiotami jest obdarzony! szepnęła Anna.

— Zapewne, lecz czy podoba się pannie?

Na to pytanie tak dziwne w wywiędłych ustach staruszki, Anna odpowiedziała z uśmiechem:

— Przynajmniej tak się domyślać można.

— Właśnie o tem najsamprzód przekonać się należy, odrzekła panna Katarzyna.

— No, to ja ciocię upewnić mogę, że ze strony uczucia wszystko jest jak najlepiej i gdyby tylko kochana ciocia co do majątku wspaniałomyślnie względem Henryka postąpić chciała, kto wie czy wszystko nie poszłoby pomyślnie.

— Gdy idzie o małżeństwo tego rodzaju, mogłabym trochę odstąpić od zwykłej mej przezorności Zapewne potrzeba będzie, aby Henryk dom prowadził na pewną stopę gdyby wziął za żonę pannę de Kérouarn. Uczynię co mi się wyda najstosowniejszem. Z Henrykiem pomówię jeszcze o tem.

— Henryk bardzo się niecierpliwi i pragnąłby się już oświadczyć.

— Oświadczyć! tak prędko?

— Tak moja ciociu, teraz wszystko prędko się odbywa.

— Wiem o tem, ale powtarzam, że małżeństwo jest rzeczą niemałą a to szczególnie głębszego zastanowienia wymaga. Prosząc pana de Kérouarn o rękę jego córki, muszę mu przełożyć wszystko co za nami przemawia. We względzie majątku, dość mam piękną cyfrę do przedstawienia, a ponieważ w zeszłem stuleciu układano już związek małżeński jednej Darganek z Kérouarnem, widocznie więc warci są jedni drugich. Dowody na to wynajdę w naszych rodzinnych archiwach. Wiem dobrze, że jesteśmy zaszczytnie znani przez wszystkich starszych ludzi w Quimperlé, ale tych coraz więcej ubywa, a na tym świecie wszystko się zapomina.

— Jakże jestem szczęśliwą, powiedziała Anna, mogąc oznajmić Henrykowi, że ciotka nie odrzuca prośby jego.

— Tak jest moje dziecię, nie odrzucam, ale muszę się jeszcze namyśleć, odpowiedziała panna Katarzyna wracając nagle do dawnej surowej powagi. Dla mojej osobistej godności muszę się wstrzymać dni parę. Bezwątpienia, pragnę szczęścia dla Henryka, ale niczem go nie upewniam i nie obiecuję czegobym dotrzymać nie mogła.

Wyrzekłszy te słowa, panna Katarzyna powstała i pogrążona w myślach, ulicą wysadzoną bukszpanem wróciła do domu.

IV.

SPOJRZENIE W PRZESZŁOŚĆ DALEKĄ.

Nie jest to niedziela, a jednakże kółko u kołowrotka kością słoniową wysadzanego pozostaje nieruchome, a panna Katarzyna siedzi przed wielkiemi staroświeckiemi szafami. Wychudłe jej ręce spoczywają na czarnej atłasowej mantylce, szeroka wstążka związana w kokardę wznosi się nad wyrurkowanemi szlarkami czepka, nogi jej giną w odwiecznem jakemś obuwiu, którego nazwa w pomroce wieków już zaginęła: olbrzymi parasol czerwoną materyą pokryty z pomarańczowemi szlakami i z rączką zakrzywioną, wisi za nią na poręczy krzesła.

Wtem, ukazuje się panna Marya-Ludwika. Jej ubiór o lat dwadzieścia młodszy od ubioru siostry, jest to bardzo pospolity strój prowincyonalnej damy, w którym w wielkiem mieście, wziętoby ją za służącę panny Katarzyny. Tej zaś nie brak pewnego wielkiego tonu i imponującej powagi w swej odwiecznej mantylce z kapturkiem, szlarkami rurkowanemi, wspaniałą kokardą i okularami w szyldkret oprawnemi. Panna Marya-Ludwika niesie pęk kluczy rozmaitej wielkości i wagi, a na znak siostry otwiera szerokie dębowe szafy całą jedną ścianę w tym pokoju zastawiające. Gdy zostały otwarte, w jednej z nich widzieć się dały stosy bielizny lekko pożółkłej, woniejącej lewandą: musiał to być skład bielizny całej rodziny a z której już niemało na całuny śmiertelne użyto.

W drugiej ukazały się tak samo stosy bielizny, ale śnieżnej białości, woniejącej świeżością, a ręką panny Katarzyny przędzonej.

Gdy szafy otwarto, panna Katarzyna wstała, cicho jak cień zbliżyła się do pierwszej, ujęła za dwa wielkie żelazne kółka szuflady, pociągnęła ją ku sobie i wyjęła z niej regestr w zielony safian oprawny, na okładce którego wielkiemi literami pyszniło się słowo: „Przychód" zamknęła szufladę, otworzyła regestr i uważnie przeglądać go zaczęła. Widocznie porównywała cyfry tam zapisane, z kartkami przyczepionemi w pewnych odległościach pomiędzy stosami bielizny. Słowo tuzin, często na jej usta wracało i wymówiła go nawet dając znak Maryi-Ludwice, aby jej krzesło między obu szafami umieściła. Usiadła regestr zielony ciągle w ręku trzymając, a przywoławszy znowu siostrę, zapytała:

— Nieprawdaż, że z Koznach zapłacono nam ośm tysięcy siedmset franków, czterdzieści centymów?

— Tak jest Katarzyno.

— A za nasz folwark Milin-Hnel, dają nam dziewięćset czterdzieści dwa franków dzierżawy?

— Tak jest Katarzyno,

— A na siedmdziesiąt siedem franków, pięćdziesiąt dwa centymy, podniesiono nam podatek od okien i drzwi domu?

— Tak, Katarzyno.

— Dobrze, nikogo oszukiwać nie chcę, szepnęła panna Katarzyna.

Oparła swe sztywne ciało o poręcz krzesła i wzrokiem przymglonym przejrzała stosy bielizny zżółkłej i śnieżnej, potém przerzucała regestr, karta po karcie, a wzrok jej stał się dziwnie ożywionym i błyszczącym. Czy w tej chwili skąpstwo opanowało tę duszę tak już blizką swego wyzwolenia, czy może chciwość dóbr ziemskich tyle blasku nadała tym oczom, nad któremi zdaje się że już śmierć zimną swą dłoń wyciągnęła? Nie, o! nie, jedno spojrzenie rzucone w przeszłość tej skromnej starej panny, aż nadto nas o tem przekona.

Sześćdziesiąt dwa lata temu, w tym samym domu umierał ojciec panny Katarzyny, człowiek miły, lekki, zarozumiały, do niczego nie zdolny, zostawiając swej córce dwudziestoletniej mały mająteczek obciążony długami i dwoje małych dzieci. Młoda dziewczyna nie odebrawszy starannego wychowania, i mając sobie przesądami wieku wzbronioną pracę zarobkową, zwróciła się do największej, nieubłaganej oszczędności; sprzedała wszystkie zbytkowniejsze meble, umieściła się z dziećmi w starym pokoju służącym dawniej na skład rupieci, a obá domy odłużone całkowicie wynajęła. Życie jej stało się zagadkowem dla całego Quimperlé, nie wychodziła, nie widywała się z nikim. W niedzielę nawet była niewidzialną, bo o wschodzie słońca prowadziła dzieci na mszę, a po południu powierzała je sąsiadce aby z nią szły na spacer. Raz w rok tylko, w niedzielę Wielkanocną, znajdowała się na sumie i wtenczas ukazywały się te dwa sławne przedmioty jej stroju: czerwony jedwabny parasol z pomarańczowemi szlakami, i trzewiki w kształcie koturnów, które przez lat trzydzieści nosiła. Po latach dwudziestu tego sknerstwa i życia tajemniczego, panna Katarzyna dom rodzicielski z długów oczyściła, w całości odebrała, umieściła w nim brata który już był sobie posadę notaryusza zakupił, i umyśliła go ożenić. Przez te lat dwadzieścia wszystkie ojcowskie długi pospłacała. Ubiegło lat kilka. Zapowiadano po cichu, że Marya-Ludwika zamyśla także o wyjściu za mąż, i że panna Katarzyna zdecydowała się ostatecznie porzucić swą dziką samotność. Już niektóre obstalunki zostały porobione u modniarek w Quimperlé zaczęto nawet szukać służącej, gdy nowe nieszczęścia spadły na odradzającą się rodzinę i zmieniły postać rzeczy. Żona Henryka Darganek umarła, a sam Hen

ryk padł ofiarą jakiegoś wypadku na polowaniu. Zostawił dwoje dzieci i dość zawikłane interesa.

Panna Katarzyna jedną już nogą do świata wracająca, zaraz się cofnęła i mężnie oddała się nowym obowiązkom, które na nią spadały. Znowu wywiesiła kartę z napisem: „dom do wynajęcia" oczyściła interesa, sprzedała notaryat, popłaciła długi, a zabrawszy w swój błękitny bawełniany fartuch biedne sieroty na jej tylko łasce będące, wróciła z Maryą-Ludwiką do dawnego mieszkania i zanurzyła się po szyję w życie pracowite i poświęcenia pełne. Ośmnaście lat później, znowu je opuściła dla ukazania światu ślicznego kwiatka rozkwitłego nad brzegiem Izoli, i aby odkupić posadę notaryusza dla pięknego Henryka, któremu choć skromne lecz gruntowne i dobre dała wychowanie. W tych ośmnastu latach zamknięcia i odosobnienia, cudowne poczyniła oszczędności, zebrała cały mająteczek dla dzieci skromnie żywionych, skromnie ubieranych, i skromnie lecz dobrze wychowanych.

Często, niestety! niebaczni rodzice nie szczędzą pieszczot i zaspokojenia zachcianek dzieci, osłabiając hart ich duszy: w dzieciństwie przyzwyczajają je do wszelkich wygód, z których one bezwiednie korzystają, do wytworności ubioru, jedzenia, zwyczajów można powiedzieć czasowych tylko, a potem gdy nadchodzi wiek prawdziwych potrzeb i gwałtownych wymagań, mówią im: „sami sobie radę dawajcie, żyjcie z małego, zmieńcie wasze zwyczaje i przyzwyczajenia gdyż nie jesteśmy w stanie dać wam majątku"! Tym sposobem, rozciągają nad tą młodzieżą chciwą szczęścia, zasłonę nie do usunięcia, niestety! smutku, biedy i zniechęcenia.—Najszlachetniejsze popędy giną w tem rozczarowaniu, przyszłość czarnemi chmurami się okrywa, wiele z tych nieszczęśliwych młodych ludzi zniechęca się, wielu się przeciw losowi swemu buntuje, a inni znowu wolą marnie ginąć jak zrozumieć rzeczywistość pełną poświęceń i pracy, która się tak niespodzianie ich oczom przedstawia. W naszych czasach szczególnie jakże jest mało rodziców, którzyby na wzór heroicznego systemu panny Katarzyny, starali się nie zaspakajać zmysłowości swych dzieci, dogadzać ich miłości własnej, temu *ja* chciwemu i pochłaniającemu, który wszystko chce posiadać a nic w zamian nie dawać.

Panna Katarzyna w dwóch ważnych przejściach swego życia, zmuszona wybierać między poświęceniem w teraźniejszości a używaniem w przyszłości, wybrała pierwsze. Lecz teraz nadchodziły żniwa, korzystanie z owoców pracy. Mimowolnie uśmiechała się przed temi bogactwami przez nią stworzonemi. Na tym regestrze, przechodziła rok po roku swoje długie życie; widziała jak rok po roku jej małe oszczędności nagromadzały się i powiększały, na tych szerokich pułkach, nie tylko owoce swej oszczędności oglądała, ale i pracę rąk własnych, a ta ruchoma część majątku nie była najmniej cenną w jej oczach.

To błogie rozmyślanie trwało z pół godziny; poczem panna Katarzyna zwróciła się do siostry i zapytała.

— Czy jesteś gotową Maryo-Ludwiko?

— Jestem gotową, Katarzyno, odpowiedziała Marya-Ludwika, której wzrok bezbarwny, łagodnie z jednej szafy na drugą się przenosił.

Panna Katarzyna wstała, zamknęła szafy, wzięła czerwony parasol i wyszła. Za nią postępowała Marya-Ludwika w pewnej odległości przez szacunek jaki miała dla starszej siostry. Ponieważ panna Katarzyna nie wychodziła tylko w niedzielę o ósmej z rana, dla słuchania mszy Ś-tej w kościele Ś-go Krzyża, więc przejście jej przez ulicę Zamkową było ważnem zdarzeniem. Zbiegano się do drzwi i okien dla powitania przechodzącej i przypatrzenia się jej miarowym, ale lekkim i pewnym krokom czerwonemu parasolowi którym się podpierała trzymając pod ręką regestrzyk w zielonej oprawie.

Obie poważne postacie przeszły ładny plac osadzony lipami i upiększony malowniczemi zwaliskami starego opactwa Ś-go Krzyża, most koło młyna, i postępując brzegiem rzeki weszły nareszcie w ulicę wspaniałych drzew, które tworzyły jakby łuk tryumfalny przy wjeździe do miasta. Panna Katarzyna zatrzymała się chwilę pod temi pięknemi drzewami i rzekła opierając się na swym parasolu.

— Co za zmiany, Maryo-Ludwiko! Jak się to miasto powiększyło i upiększyło z tej strony! Jak te drzewa w mych oczach sadzone urosły!

I przeciągając swą wyschniętą rękę wskazywała na prześliczne topole nad brzegiem Lety się wznoszące. Panna Katarzyna od dawna ograniczała swoje przechadzki na przedmieściu Gorreker i ledwie raz w lat dziesięć zwiedzała inną część miasta. To też zachwycała się przed każdym nowym domem, gankiem obielonym, szyldem odświeżonym, kaplicą poprawioną, drzewem wyrosłem i znajdowała, że Quimperlé szalenie się powiększa, dziwnie się zmienia i zdąża bardzo szybko, że aż to ją zawrotu głowy nabawia, za nowoczesnym postępem.

— Mój Boże! co widzę, mówiła dalej, odbudowywują zdaje mi się, kaplicę?

Przed nią, z za gęstego parkanu należącego do klasztornego ogrodu, wznosiły się rzeczywiście nowe mury ładnej i zgrabnej kapliczki.

Panna Katarzyna westchnęła, i wciąż mówiła idąc dalej.

— Nie lubię tego szału odbudowywania

Czas jakiś postępowała w milczeniu i nie zatrzymała się aż w miejscu zkąd rozchodziły się drogi, z których mniejsza oddalając się od Lety szła pod górę, po niej to panna Katarzyna dalej iść miała.

— I jeszcze dom nowy, powiedziała wskazując palcem ładny biały domek wznoszący się na wzgórku. A znowu i tu, dodała zwracając się na lewo. Jakże się budują w Quimperlé!

— A tam dalej, zauważyła Marya-Ludwika wpatrując się w przestrzeń, jeszcze ich więcej.

— A te wielkie sklepienia co tam widać, co to jest Maryo-Ludwiko?

— Są to arkady podtrzymujące nasyp pod drogę żelazną.

— Ach! to prawda, kolej żelazna przychodzi do Quimperlé! Dawniej, Koat-an-Abat nie miało sąsiedztwa, nie spotykano po drodze tylko te oto domy.

Panna Katarzyna zwróciła swój parasol w stronę nędznych chatek, wznoszących się po prawej stronie i dalej mówiła:

— Mieszkał tam oberżysta i miał syna kowala, który podkuwał zawsze konie mego ojca. Czy żyje on jeszcze Maryo-Ludwiko?

— Umarł temu lat dziesięć Katarzyno.

— Tak młodo? bo nie miałby więcej jak siedemdziesiąt lat. Jakto, ogłoszenia na przedmieściu Quimperlé! Maryo-Ludwiko, co znaczy ten wielki, biały afisz? Przeczytaj mi to, nie wzięłam okularów, a oczy moje źle już widzą.

Marya-Ludwika podeszła do przylepionego ogłoszenia i czytała co następuje.

„1870.

„*Cesarstwo Francuzkie.*

„Napoleon III, z Bożej łaski Cesarz Francuzów.

„W niedzielę, dnia 8-go maja, naród Francuzki zwołany będzie do swych okręgów dla przyjęcia lub odrzucenia plebiscytu".....

— Dość tego! powiedziała panna Katarzyna wstrząsając swym parasolem; polityki tego rodzaju nie rozumiem zgoła. Czyż już nie bywają rewolucye we Francyi? Od dawna coś nie słychać o nich, ale niebawem mieć je znowu będziemy, zasady nie zmieniają się nigdy.

Wyrazy te czysto i dobitnie wymówiwszy, panna Katarzyna poczęła wstępować po górzystej drożynce podpierając się swym parasolem.

Przebywszy tę uciążliwą drogę obie siostry znalazły się w ulicy wysadzanej czereśniowemi drzewami, właśnie teraz w kwiecie będącemi: tworzyły one prawdziwy spacerowy ogród.

— Za moich czasów były orzechy w tej ulicy, powiedziała panna Katarzyna podnosząc głowę dla przyjrzenia się gałązkom okrytym białemi kwiatami, które w tej chwili obficie na nią spadły. Na tak młodem drzewie, i czereśnie ślicznie kwitną, szepnęła i na tem się skończyły uwagi starej panny!

Na słowa przez Maryę-Ludwikę wymówione: „Katarzyno widzisz ktoś idzie"! panna Katarzyna poprawiła czepek z którego się posypało mnóstwo białego kwiecia, mocniej ścisnęła w ręku swój rejestrzyk zielony, wyprostowała się i szła zwolna przed siebie.

Zbliżającą się osobą była młoda dziewczyna, i zdawała się iść na ich spotkanie. Lekkim krokiem przebiegała raczej niż przechodziła pod cieniem drzew a jej promienna główka prócz aureoli młodości i piękności, ustrojoną była w fantastyczny wieniec z kwiatu czereśniowego.

— Kto to jest, Maryo-Ludwiko? zapytała panna Katarzyna.

— To ona, Katarzyno, Franseza de Kérouarn.

I rzeczywiście jest to dziedziczka Koat-an Abat. Piękność jej nie zniosłaby może krytyki zbyt ścisłej, ale jednakże piękną jest prawdziwie. To młode dziewcze łączy w sobie siłę, świetność, harmoniją i cały wdzięk młodości. Przypatrzmy się tem błękitnem oczom gdy błyszczą lub marzą pod czarną jedwabistą swych rzęs zasłoną, wyraz ich słodki jest i figlarny zarazem. Spojrzyjmy na złociste włosy gęste i lśniące, okalające to białe czoło cechą intelligencyi oznaczone, na te usteczka wdzięcznie rozwarte uśmiechem pełnym wyrazu. Zwróćmy uwagę na wdzięk i szlachetność każdego jej ruchu a dziwić się nie będziemy, że o ślicznej perełce z Koat-an-Abat na kilkanaście mil w około wszyscy wiedzą i mówią.

Gdy błękitne oczy Fransezy zatrzymały się na pannie Katarzynie, wielkie zdziwienie w nich się odmalowało.

— Czy być może, to pani? zawołała szybko postępując parę kroków i oddając ukłon pełen uszanowania i wdzięku: aleź to cud prawdziwy oglądać panią w Koat-an-Abat!

— Tak, teraz to cud, odpowiedziała panna Katarzyna także się kłaniając, a był czas gdy często tu przychodziłam: za życia babki twojej, moje dziecię. Młodo zmarła ona, bardzo młodo, nie miała więcej nad lat siedemdziesiąt i dwa.

(d. c. n.)

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ
OD X DO XII STULECIA.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

(Dalszy ciąg).

Najznakomitszemi, najgodniejszemi uwagi, pomnikami starożytnej literatury, są kroniki czyli letopisy układane w monasterach. Najpierw ukazały się w postaci *tabliczek wielkanocnych* obejmujące krótki

notatki o świątecznych obrządkach kościelnych: kopiując je później, jedne skracano, drugie uzupełniano. Źródła do jakich uciekano się w tym celu były bardzo różnorodne, jak np. księgi Starego i Nowego Testamentu, chronografy greckie, legendy o Borysie i Hlebie, o niewidomym Wasilku, i opowiadania pielgrzymów wędrujących od klasztoru do klasztoru.

Skutkiem nieustannych dodatków i dopisków, te wielkanocne Tabliczki zamieniły się w obszerne kroniki, które liczni zwolennicy przepisywali z upodobaniem, i tym sposobem doszły do naszych czasów w wielkiej liczbie egzemplarzy, znane pod nazwiskiem ostatniego kopisty, lub miejsca w którem je znaleziono. Nazwiska autorów tych kronik zaginęły w niepamięci, z wyjątkiem jednego tylko Nestora, zakonnika pieczarskiego monasteru w Kijowie (umarł w pierwszej połowie XII-go stulecia). Ostatnia ta kronika nosi tytuł *opowieść współczesna* i przechowała się w licznych kopijach.

Autorami tych latopisów byli po większej części zakonnicy, stanowiący wówczas najoświeceńszą klasę narodu; wielu z nich byli już rodowici Rossyanie, a nie jak dawniej Grecy lub Bulgarowie. Zapatrują się naturalnie z czysto religijnego stanowiska, i zmierzają głównie do rozkrzewienia chrystyanizmu, i dla tego rozpisują się obszernie o wszystkiem, co się odnosi do religji, obrządków kościelnych i t. p. Wszelkie nadzwyczajne fenomena niebieskie, przedstawiane w nich są jako przepowiednie groźnych katastrof, a klęski i utrapienia jako kary Boże na grzeszników za ich ciężkie winy i praktyki pogańskie. Układane są często w formie dialogu i obejmują całe ustępy z Pisma świętego? Jakkolwiek kronikarze potępiają zawzięcie wszelkie ślady poganizmu nie są jednak zupełnie obojętni na ważniejsze fakta z czasów pogańskich, i podają wiele szczegółów o ówczesnych książętach i ich waleczności.

W ogóle, kroniki te pisane są w języku cerkiewno-słowiańskim lub w starem narzeczu bulgarskiem, zmienionem skutkiem wymowy przejętej w Rossyi południowej; — jednak tu i owdzie zaczyna się już pojawiać język rossyjski, szczególniej w dyalogach występujących osób, w opowieściach współczesnych wypadków i w przytaczanych tradycyach ludowych.

Do budujących i zarazem zajmujących książek, zaliczyć trzeba opisy wędrówek do miejsc świętych, a między innemi do Jerozolimy. Wówczas dostanie się tam było z tak niesłychanemi połączone trudnościami, iż za niesłychaną poczytywane było zasługę. *Opis podróży do Ziemi świętej Daniela ihumena* żyjącego w XII-ym wieku przechował się w wielkiej liczbie najrozmaitszych kopji. Oprócz nazwy Wędrówek i Podróży, nadawano jeszcze takim utworom nazwę *palmników* (noszących palmy, z powodu, że pielgrzymi odbywający wędrówki do Palestyny, udawali się tam najczęściej na Święta Wielkanocne i wracając do kraju przynosili z sobą gałęzie palmowe, które trzymali w ręku podczas nabożeństwa przy grobie Zbawiciela w Palmową niedzielę.

Autorowie tych dzieł nie przestawali na opisywaniu tego tylko co sami widzieli lub doświadczyli, ale w opowieściach swoich zamieszczali także tradycye i legendy rozpowszechnione między pielgrzymami, jakich dowiadywali się jedni od drugich podczas wspólnej wędrówki lub pobytu w monasterach.

Przejrzawszy tak główne utwory literatury cerkiewnej z tej pierwotnej epoki, nasuwa się pytanie: jaki był ów wyższy ideał stawiany przez duchowieństwo w zamian pogańskiego, i jakim sposobem starało się ono zaszczepić go na gruncie niedostatecznie jeszcze przygotowanym, do przyjęcia tych nowych nasion? Rzucono się z jednej ostateczności w drugą. U Rossyan pogan, miały miejsce dziedziczne walki i zwady, panowało prawo mocniejszego i gwałtowne rozkiełznane namiętności, łatwo pojąć że dążności duchowieństwa chrześcijańskiego w przeciwnym zupełnie rozwijały się kierunku.

Nauczali duchowni panowania nad sobą i poskramiania namiętności, umiłowania spokoju, zgody i sprawiedliwości, posłuszeństwa władzom, miłosierdzia dla biednych i t.p. i przekładali, że świat ten pełen pokus i zgubnych rozkoszy, jest nadzwyczaj niebezpieczny dla zbawienia duszy. Tak więc kto pragnie być zbawionym, jedna mu tylko pozostaje droga: pogardzać rozkoszami zmysłowemi, ćwiczyć się w modlitwie, przyzwyczajać do jak najczęstszych postów, umartwiać ciało, jako źródło wszelkiego grzechu.

Tak więc chrześcijanie, pragnący dosięgnąć tego ideału doskonałości chrześcijańskiej i nie z nazwiska tylko być chrześcijanami, zamykali się w monasterach początkowo w Grecyi a następnie we własnym kraju, i tym sposobem namnożyło się bardzo wiele zakonów i mnichów. Ale i ci co zamknęli się w murach klasztornych dla zapewnienia zbawienia duszy, nie zawsze umieli wyrzec się namiętności i pokus światowych. Już w XI-ym wieku, wielebny Teodozy bardzo był niezadowolniony z ówczesnych monasterów i surowo wyrzucał zakonnikom, że w niczem nie dotrzymywali wykonanych ślubów.

W XII-ym wieku, pieczarski monaster w Kijowie staje się ogniskiem cerkiewno-słowiańskiej działalności: zakonnicy jego porównywali kanony, układali latopisy, i przepisywali przyniesione z Bulgaryi rękopisma. Do pomników ówczesnej literatury należały jeszcze objaśnienia różnych kwestyi, dotyczących religji i obrzędów kościelnych, jak n. p. Dzieła metropolity Hilaryona, list metropolity Nicefora do Włodzimierza Monomacha, Kazania Cyrylla Biskupa turowskiego; Listy (pytania) Kiryka do biskupa nowogrodzkiego Nifonta, dalej Żywoty Świętych, nauka dla dzieci (albo testament) Włodzimierza Monomacha i t. p.

W książce tej autor wykłada obowiązki człowieka względem religji, rodziny i państwa. Nauki te były wynikiem sporów i kłótni domowych, oraz krzywoprzysięztwa jakiego się dopuszczali członkowie książęcej rodziny, w skutku czego wielkie wynikały klęski. Włodzimierz Monomach naucza dzieci żałować za swe winy, pościć, modlić się, być miłosiernymi dla biednych i chorych.

Dzięki wprowadzeniu chrystyanizmu, jakaż to wielka zachodzi różnica między ideałem księcia przedstawionego przez Włodzimierza Monomacha, a typem dawniejszych kniaziów otoczonych swą drużyną, jakich opisy przekazały nam kroniki! Styl odznacza się jasnością wykładu, prostotą i naturalnością.

(d, c. n.)

Korespondencya zagraniczna.

Z Poznania 5 Lipca.

W końcu czerwca odbyło się na sali Bazarowej walne doroczne zebranie Towarzystwa pomocy naukowej dla dziewcząt. Przybyło pań 40, tak ze wsi jako i z miasta. Panna Bibianna Moraczewska, prezydująca od czasu zawiązku tej zbawiennej instytucyi, wezwała obecnych do wyboru przewodniczącej. Głosem ogólnym wybraną została hrabina Arnoldowa Skórzewska z Lubastronia. Powołana na sekretarkę, panna Kornelija Grabska, odczytała protokół z poprzedniego walnego zebrania. Poczem panna Moraczewska dała ogólny pogląd na czynności Towarzystwa. Mówiła między innemi o dwóch dotkliwych dla Towarzystwa stratach w ciągu ubiegłego roku: przez śmierć hrabiny Sewerynowej Mielżyńskiej, kolektorki na powiat Wrzesiński i ś. p. Józefy z Mianowskich Grabowskiej. Dyrekcya od zeszłorocznego posiedzenia walnego, rozdzieliła szczegółową pieczę nad stypendystkami, stosownie do zawadów, jakie obrały w sposób następujący; pani Leonardowa Kwilecka i pani Nieżychowska przyjęły opiekę nad wiejskiemi gospodyniami i kucharkami; pani Grabowska i Chrzanowska nad uczennicami handlu, jako też: szmuklerkami, introligatorkami; panie Jakowicka i Grabska nad praczkami i modniarkami; pp. Emilija Szczaniecka, Marya Szczaniecka i Moraczewska nad nauczycielkami, bonami i krawczyniami. W wyborze zawodów najwięcej jest: nauczycielek, krawczyń i modniarek. Od przeszłego roku liczba kandydatek podniosła się znacznie.

Wspomnieć należy, że zakłady naukowe żeńskie w Poznaniu, udzieliły jedenastu uczennicom nauki bezpłatnie. Pani Szumińska, mająca dziś pierwszy magazyn strojów w Poznaniu, przyjmuje także każdego roku bezpłatnie jedną uczennicę. (A mieliśmy sposobność przekonać się, iż z korzyścią odpowiednią). Uczennic w tym roku było 39. Dwom z tychże cofnięto stypendya przed ukończeniem nauki, ponieważ nie stosowały się do przepisów ustawy, jedna postępowaniem swojem, druga brak'em pilności.

Składki z większą trudnością wpływały w tym roku. Trzy powiaty, niestety: Babimastski, Chadzieski, Międzyrzecki, usunęły się całkiem. W innych żaliły się kolektorki na opieszałość i brak przynależnego współudziału.

Niedostatek funduszów dotkliwie dał się uczuć. Udano się do dyrekcyi teatru, która przedstawiła operę *Halka*, i chętnie połowę dochodu na rzecz Towarzystwa oddała. Następnie urządzono loteryę fantową, która także chwilowo szczupłą wsparła kasę. W miejsce ś. p. Sewerynowej Mielżyńskiej i Józefy Grabowskiej, jako też pani Jakowickiej, która opuściła Poznań, wybrane zostały: p. p. Kościelska, Anastazya Darysz i Marya Wilczyńska.

W ubiegłym roku ukończyły nauki następujące uczennice: krawczyń i modniarek dziesięć; wiejska gospodyni jedna; praczki trzy; kucharka jedna; w szkole handlowej w Brzegu jedna, bona jedna, pianistka jedna. Na wyższej pensyi było ośm: ukończyły nauk z dyplomem na nauczycielki dwie, jedna wyszła bez ukończenia, pięć pozostało jeszcze.

Złożono dyrekcyi w ciągu roku podań o przyjęcie uczennic na koszt Towarzystwa, siedemdziesiąt. Z tych uwzględniono, pięćdziesiąt dwa. Na nauczycielki przyjęto dziewięć; na buchalterki ośm; na bonę jedną; na ochroniarki siedm, na krawczynie i modniarki szesnaście, na praczki cztery, na kucharki cztery na wiejskie gospodynie trzy.

1-go lipca było walne zebranie *Towarzystwa przyjaciół nauk*. Posiedzenie poprzedził odczyt pana Józefa Kościelskiego na Sali Bazarowej. *O rapsodach arabskich w Egipcie*. Już sam wstęp przemówił do nas, bo w nim szanowny prelegent wielką a dotkliwą wypowiedział prawdę, wskazując na dzisiejszą społeczność zmaterjalizowaną całkiem, obojętną na wszelkie piękno i poezyą; wystygłą na ciepło serca i podniesienie umysłu.—„Dla nas — wyrzekł"— już świat cudów zamknięty; umilkły rusałki, boginki śpiewające w każdym strumieniu i krzewinie każdej. Potężni czarodzieje i wieszczki urocze rozwiały się w mgle, z której powstały, ale na Wschodzie świat ten czarów w pełnej jeszcze żyje potędze, i z tego skarbu literatura europejska czerpała obficie swojego czasu: dziś i to już minęło.... Skreślił nam następnie charakterysty-

ką Arabów, życie ich i towarzyskie, stosunki, poezyą ich, której dział najwybitniejszy stanowią powieści epiczne. Snują się tam jeszcze tu i owdzie starcy, poeci, którzy słuchaczom improwizują opowiadania epiczne, nadając im poetyczną formę. Najliczniejszy zastęp stanowią tak zwani Abu—Saidijch, opowiadacze życia i przypadków bohatyra szczepu Hilal, nazwiskiem Abu—Said, zwykle Barakatem zwanego. Przytoczył nam jedną z takich powieści, o urodzeniu Barakata, pełną poetycznej fantazyi i w dosłownym przekładzie jeden ze śpiewów, odpowiedź Khadry, matki Barakata, na zapytanie jego: Czyim on jest synem?

Pan Kościelski zakończył swój odczyt nader zajmujący, świeży pod względem przedmiotu, pięknym wypowiedziany językiem i z wyższym polotem myśli, temi wyrazami: ,,Tylko w piękności harmonji i słowa rozmiłowane społeczeństwo, zrodzić może wielkich mistrzów słowa i pieśni, a społeczeństwa takiego nie szukać po za stołami naszych giełdowych kantorów. Społeczeństwo żyjące wszystkiemi tętnemi ludzkiego umysłu, rodzi i rodzić będzie poetów na swój zaszczyt i na szczęście swoje. Wszystkie czyste duchowe rozkosze, które nam umysłowe zajęcie daje, to tyleż czynników szczęścia i tyleż dowodów żywotności, a ten wart żyć tylko, komu nic nie obojętne. Wielka to zaiste prawda!

Ukaże się lada dzień pierwszy numer tygodniowego pisma, belletrystycznego: *Warta*, pod redakcyą profesora Rzepeckiego.

Przeczytaliśmy tom drugi słynnego romansu Gustawa Freitag: *Die Ahnen*. Dalszy ten ciąg ma nazwę; (Gniazdo myszych królików)—rzecz dzieje się w roku 1003, i z dziwną prawdą harakteryzuje rasę Teutońską. Oto cząstka treści tego tak bardzo wychwalanego opowiadania.

Waleczny rycerz Irmfried w Turqugii, pozostawił sześciu synów, z których najstarszy, Immo, przeznaczonym był do stanu duchownego. Zostaje on w klasztorze Heralsfeld, już przybrany w suknię duchowną. Młodzian jednak, niechętny temu stanowi a pragnący rycerskiego zawodu, ciągłe zakonnikom płata figle.

Nastąpiło sianobranie na łąkach, należących do klasztoru. Wyjeżdżają więc liczne wozy z ludźmi i mnóstwo zbrojnych, bo lękano się napadu ze strony grafa Gerharda. Immo także dopadł konia pokryjomu i przyłączył się do wyprawy.

(d. n.)

Pogadanka.

Wyrażenie świętej pamięci księdza Baki.

Nie wyprosisz czołem bijąc,
Nie ubłagasz nosem ryjąc,

sprowadza się często pomiędzy ludźmi. Rzeczywiście są wypadki w których ani prośbą, ani groźbą, ni wydrwieniem, ośmieszeniem nic nie zrobisz, choćbyś serce rwał na szmaty, pięścią mury wstrząsał, posiadał dowcip Momusa a złość Przeglądu Tygodniowego.

Corocznie powtarzają się łajania, przeciw wyjazdom za granicę na lato: gniewamy się także na długie suknie kobiece, które ogród Saski przemieniają w jakąś piekielną torturę powolnego dławienia: Kuryer nawet Codzienny wystąpił w obronie własności publicznej i palnął dwa artykuły niezmiernie wojownicze, wychodzące za zakres zwykłej jego uprzejmości, wszystko to jednak nic nie pomogło, wycieczki letnie jak trwały tak trwają, a suknie jak podnosiły tumany pyłu ulicznego tak podnoszą.

Czyżby to był upór na który jak wiemy nie ma lekarstwa?

Nie sądzimy: na wszystko jest sposób, tylko trzeba go umiejętnie użyć i działać nie na skutek tylko na przyczynę.

Dla czego kto może, ucieka z Warszawy na całe lato?

Nic dziwnego a nawet dziwić się potrzeba, że wszyscy tego nie robią.

Gdy przyjdą upały, par dusi, kurz dławi, a woń z tysiąca i jeden ścieków i kanałów wcale niewonnem otacza cię powietrzem. Kręcisz więc nosem, zasłaniasz usta, tamujesz oddech, ale woń ściga cię, goni jak potępieńca, zmieniając co chwila różnorodność pierwiastków, z których się składa. Uciekasz do ogrodu Saskiego, tam nowa męczarnia, pył w ulepszonej edycyi zmieniony na najdelikatniejszy pyłek, jak powietrzny niewinny obłoczek otacza się w koło: uciekasz do ogródków, występuje woń piwa i dymu tytuniowego: uciekasz do domu, zaduch dusi, otwierasz okno powietrze uliczne dławi a trajkot ogłusza. Nie ma więc rady, ze złem spotykasz się za każdym krokiem, wlecze się za tobą, pełza, podnosi i nie opuszcza na chwilę:

Choćbyś prosił czołem bijąc,
Choćbyś błagał nosem ryjąc.

Jakże więc nie uciekać z miejsca tak wabnemi obdarzonego przymiotami?

Co do sukien powłóczystych, noszą je bo tak każe moda, a moda jest to pewne utrwalone pojęcie, że w danej chwili przystrój taki a taki zdobi i upięknia. Któż na to jest nieczułym?

Może powiecie że mężczyzni?

Bajki! zmienia się ona i w przystroju męzkim, w sposobie czesania włosów, noszenia wąsów i bokobrodów a nawet w laseczkach i parasolach. Obecnie podgalanie faworytów do połowy twarzy jest modnem, a z pewnością nie wymyśliła tego kobieta tylko pochwaliła, a mężczyzna uniżony sługa był posłusznym i moda powstała.

Jeżeli więc chcecie aby suknie kobiet stały się krótszemi, wymyślcie coś takiego, coby skrócenie to podniosło wdzięk naszych towarzyszek, a w przeciągu miesiąca stawiam swą głowę o zakład, że suknie zaledwie do kostek dochodzić będą. Buciki zgrabne, ozdobne, w najpiękniejszych kształtach przedstawiające nogę, dokonałyby z pewnością tej zmiany.

Wymyślcie je, zaprowadźcie kanalizacyą, skrapianie ulic, ogrodów, skwerów i placów wodą wiślaną z wodociągów, jak to ma miejsce za granicą, zaopatrzcie Warszawę w bruk kostkowy, usuńcie z podwórzy śmietniki, zlewniki i inne podobne zbiorniki, a wycieczki podczas lata zmniejszą się. Będzie to działanie na przyczynę, więc loiczne i stanowcze.

Warszawa obecnie w pełni swego życia letniego: ogrody brzmią oklaskami licznych tłumów zbierających się na przedstawienia teatralne, zamiejskie wycieczki roją się gromadami dniowych pielgrzymów, statki parowe prują fale Wisły, łazienki letnie szumowi ich odpowiadają pluskiem kąpiących się, tratwy ciągną za tratwami, galary za galarami, na Pradze kopy raków i kurczaków giną w przepaści żołądkowej smakoszów, a cyrk sztucznych jeźdźców bawi klownami chciwych wrażeń sztuk niebezpiecznych.

Z przyczyny tego cyrku małe zaszło nieporozumienie: na jednem z wystąpień osła Rigolo posiadającego niepospolity talent zrzucania z siebie jeźdźców, i popisującego się z nim w szrankach cyrkowych, jakiś ochotnik zachęcony przyobiecaną nagrodą sześciu rubli, jeżeli potrafi na nim objechać w koło szranek, postanowił sprobować szczęścia. Sprawozdawca Kuryera Warszawskiego o tym fakcie dając doniesienie oświadczył, że ów ochotnik jakkolwiek użył fortelu gdyż złapał osła za uszy, i chwilowo miał nad nim przewagę, jednak runął na ziemię jak dąb podcięty i nagrody nie odebrał. Sprawozdawca Wieku inaczej tę rzecz przedstawił: w jego raporcie uszy osła odegrały rolę zupełnie dla ich właściciela nie spodziewaną, ale ochotnik stanowczo ujarzmił osła, szranki objechał i sześć rubli przy ogólnych poklaskach zgarnął do kieszeni. Któreż więc pismo powiedziało prawdę? Czy w obronie osła występujące, czy wyśmiewające jego niezdarność.

Jest to nowa próbka zbytniego pośpiechu i przyzwyczajenia gonienia za nowinkami, bez starania wywiedzenia się dokładnego jak się rzecz ma istotnie. Byle zaraz, byle przed drugiemi, byle coś nowego o resztę fraszka. Dziś chybię jutro poprawię się a publiczność przeczyta, i pogawędzi, znów przeczyta, i znów gawędzić będzie, a oto właśnie idzie żeby miała o czem gawędzić.

W ostatniej Pogadance wspomnieliśmy o orkiestrze utworzonej staraniem Dyrektora Kątskiego. W przeszłą niedzielę z czwartym i podobno ostatnim wystąpiła Koncertem, gdy więc spełniła swoje zadanie, gdy nam błysnęła jutrzenką, że z czasem możemy przyjść do własnej i do tego dobrej orkiestry, gdy wreszcie publiczność wychwaliwszy i oklaskawszy nie szczędziła zachęty, dając dowód jak pragnie wspomagać i w tym kierunku swojskie żywioły, gdy więc wszystko się to stało, czas pomówić szczerze jak rzeczy istotne stoją.

Jakkolwiek orkiestra w składzie swoim posiada kilkunastu chłopaczków małoletnich, nie można jej jednak nazwać złożoną z samych dzieci.

Są tam dorastający do pełnoletności, są i pełnoletni, a jednak wykonanie niektórych utworów pozostawiało wiele do życzenia. Zdaje się, że o to winić nie można samej orkiestry: pośpiech, brak prób w dostatecznej liczbie, chęć wystąpienia z nowym programem, głównym tego były przyczyną. Czwarty koncert w porównaniu z innemi najlepiej się udał, widocznie uwagi z pierwszych porobione wpłynęły na to. Tempo było właściwsze, deklamacya pewniejsza, zamaszystość jak w mazurze sielankowym żwawsza, a nawet w symfonji Hejdna cieniowanie odpowiednie duchowi kompozycyi. Materyał więc jest, tylko trzeba żelaznej pracy i wytrwałości, a jeżeli je młodzi artyści poślubią, jesteśmy przekonani, że w następnych wystąpieniach różnica będzie wielka, a za rok posiądziemy orkiestrę którą nam zdoła zastąpić obce sprowadzane z zagranicy. Oby przepowiednia nasza sprawdziła się.

Słów te kilka były koniecznemi: w zawczesnem występowaniu na widownią publiczną, marnieją u nas młodzieńcze zdolności we wszystkich kierunkach artystycznego zawodu. Giną młodzi literaci, giną malarze, zużywają się artyści dramatyczni, marnieją i młodzi muzycy. Gorączkowa niemal żądza sławy a z nią rozgłosu i zarobku, jedynym tego powodem. Żaden z tych młodych talentów nie chce czekać i wytrwałą pracą dobijać się uznania.

Każdy z nich pragnie jak najprędzej choćby dziś zostać uwieńczonym i otoczyć się złotem i uwielbieniem. Dzisiejsi członkowie orkiestry instytutowej są dziećmi swego wieku, dzielą więc z braćmi swemi wszystkie ich wady, sądzimy zatem, że uwagi nasze nie pogniewają ich, ale staną się wskazówką dla przyszłości.

Orkiestra nowa nasza w Warszawie ma świetne dla siebie widoki, bo miejsce dotąd nie zajęte, i pragnienie szczere publiczności posiadania jej w swoich murach. Przy takich warunkach kilkudziesięciu muzyków może się utrzymać bardzo przyzwoicie, ale trzeba umieć z nich korzystać odpowiednim do tego przysposobieniem.

Przegląd literacki.

Pierwszy numer Niwy pod nową Redakcyą.

Sprawozdanie krytyczne z jednego numeru pisma peryodycznego, może się wydać dla niejednego dziwnem jako przedwczesnem, ale usprawiedliwimy się z tego poniżej. Tu tylko tyle powiemy, że Niwa jest pismem naukowem, literackiem i artystycznem, i wychodzącem do tego dwa razy na miesiąc w objętości takiej, że o wartości każdego numeru można coś powiedzieć. Nadto zmieniła Redakcyą, wprowadziła zatem nowe żywioły, nowy sposób zapatrywania się na jej przeznaczenie i zgodnie z tem pojęciem, pierwszy numer przysposobiła. Godzi się więc w tych żywiołach i w ich pojmowaniu celu pisma naukowego bliżej rozpatrzeć, i szukać wskazówek jego dalszych losów. Szczera życzliwość kieruje naszem piórem, bo jakże nie życzyć dobrze, gdy idzie o tak ważną sprawę jaką jest nauka?

Przy pierwszem ogłoszeniu o jej wychodzeniu przed trzema laty odzywaliśmy się do publiczności z zachętą i współczuciem, ciesząc się z powstania tak pożytecznego organu i wróżąc najlepsze powodzenie. Redaktor jej ówczesny, oceniając nasze wystąpienie, podziękował za to przychylne odezwanie się, ale na rzuconą myśl, aby do narad redakcyjnych przyjęci zostali niektórzy ze starszych literatów znanych już dobrze krajowi, oświadczył stanowczo, że starsi literaci zupełnie od tego pisma usunięci zostali, i że zgodzono się jednomyślnie, prowadzić je jedynie przy pomocy sił młodych dopiero w świat literacki wstępujących. Wprawdzie nie wyrzekano się ogłaszania artykułów przez starszych literatów przygotowanych, ale kierunek wyłącznie przy młodych zostawiono. Na uwagę, że samowolnie pozbywają się pomocy tak dzielnej i niezmiernie pożytecznej, odpowiedziano, że zmienionem to już być nie może, gdyż założyciele stanowczo takie postępowanie uchwalili.

Niwa więc poszła o siłach samej młodzieży świeżo wyszłej z uniwersytetu; wróżba nasza co do powodzenia spełniła się, liczny zastęp prenumeratorów zgromadził się, a jednak pismo w ciągu lat trzech upadło. Jakaż tego przyczyna?

Na to krótka odpowiedź: Niwa miała być pismem naukowem, literackiem i artystycznem, a ani jednemu z tych działów nie odpowiedziała. Przez cały czas swego istnienia błąkała się między barwami różnych pism codziennych, tygodniowych i miesięcznych, chciała uczyć, radzić, krytykować, bawić, ale wszystko to było tak słabe, płoche i pobieżne, że naturalnie nikomu nie mogło się podobać.

Jedna tylko barwa była widoczna, chęć rozwijania materyalizmu z pogardzeniem wszystkiego co szanowane i kochane, prenumeratorowie też co kwartał zmniejszali się w liczbie, czytelnicy sarkali, krytyka łajała, humorystyka wyśmiewała, aż wreszcie przyszło do tego, że nie było już ratunku i liczba czytelników stała się tak małą, że aż o zmianie redakcyi pomyślano.

Pierwszy zatem numer wydany został w formacie książkowym, ale o to mniejsza, przejdźmy do treści. W odezwie do czytelników Redakcya rozumnie i poczciwie przemówiwszy, oświadcza, że w sądzie o pojętej pracy nie żąda względności tylko sumiennej oceny. Damy ją więc bezwzględną i sumienną, godną ludzi co pracą uczciwą chcą służyć krajowi.

Pierwszy artykuł o stronniczości w historyi przez D-ra Smolkę zapowiada pracę ważną, ale szkoda, że po trzech stronicach przerwano ją obiecując ciąg dalszy. Po nim idzie nowella, Spielhagena w tłomaczeniu mieszcząca się już na siedmiu stronicach także nie dokończona. Znamy ją dobrze, i dziwimy się że Niwa wybrała ją do zapełnienia działu powieściowego. Jest to ramota zupełnie nieudatna, ani bawi ani uczy.

Dalej następuje rozbiór gramatyki Księdza Malinowskiego, cztery stronice zajmujący, jakkolwiek starannie napisany, ale cokolwiek za specyalny. Nie ganimy jego pomieszczenia, czytelników jednak nie wielu znajdzie, na co każda redakcya zważać powinna.

Idąca dalej kronika zagraniczna, jest zbiorem różnych wiadomości tu i owdzie pozbieranych i mieści krótką wzmiankę o studyum nad Petrarką i wiekiem jego, wiadomość o konkursie dramatycznym krakowskim, o wystawie powszechnej w Filadelfji, o fortepianistce Oldze Janinie występującej w Paryżu i o Julijuszu Janin zmarłym niedawno; wszystko to mieści się na czterech stronicach a chociaż przeciw obrobieniu tej rubryki nic nie można powiedzieć, bo jest bardzo staranna, sama jednak szczupłość miejsca jakie zajmuje, dowodzi najlepiej, że w kilkudziesięciu lub w kilkunastu wierszach o najmniej uczonym przedmiocie nie można wiele a przynajmniej tyle powiedzieć, żeby to nazwać można było naukowem. Są to tylko wiadomości i nic więcej, dziś przeczytane jutro zapomniane.

Korespondencya z nad Niemna pani Orzeszkowej, jako Korespondencya wyborna, bo z życiem,z prawdą, dowcipem i rozumem napisana. Podobne są bardzo użyteczne, bo oddalone miejscowości zbliżają do siebie, wzajemnie zapoznawają, wytykają błędy, dają rady, ale w każdym razie nie mogą być zaliczone do działu naukowego i zwykle w pismach peryodycznych na drugim znajdują się planie. Zajmuje ona dziesięć stronic o co nie gniewamy się wcale, tylko nam żal, że artykuł wstępny na czterech ograniczono.

Kronika informacyjna Czasopism, poświęcona jedynie przeglądowi Biblioteki War. obejmuje sześć stronic.—Jest więc i to nie naukowy artykuł tylko troszkę krytyczny, a krytyka w każdym piśmie peryodycznem nie jest głównym działem tylko dodatkowym, tym bardziej nie zupełna tylko pobieżna.

Dla artykułu p. t. Sprawy bieżące, redakcya okazała się najwzględniejsza, bo poświęciła mu aż czternaście stronic.— Szczodrości tej najzupełniej nie chwalimy.—Bo czem są owe Sprawy bieżące?

Niczem więcej, tylko pod nową nazwą, zwykłą naszą Pogadanką, Kroniką, Śladami życia, Bez tytułu i t. p. które są zbiorem różnych wiadomostek mniej więcej zgrabnie ułożonych i związanych krytycznym na nie poglądem.—Sprawy bieżące Niwy zręcznie są napisane, ale czyż mogą być zaliczone do działu naukowego? Czyż należało zrobić je najobszerniejszym artykułem w całym numerze?

Numer wreszcie kończy się Bibliografiją informacyjną, obejmującą na trzech kartkach wiadomość o sześciu dziełkach wyszłych w ciągu roku z druku.

Otóż i wszystko co się mieści w pierwszym numerze Niwy pod nową Redakcyą, a ułożywszy to wszystko na odzielne działy, zobaczymy, że w nim obejmuje:

1. część rzeczywiście naukowa	stronic	3
2. część prawdziwej krytyki	„	4
3. część niby krytyczna	„	6
4. Biblijografija	„	3
	razem stronic	16

i z tych zaledwie połowa i to mniejsza prawdziwie naukową może się nazwać.

Reszta zaś zajmuje:

5. Powieść	stronic	7
6. Korespondencya	„	10
7. Kronika zagraniczna i Krajowa bo Spraw bieżących niczem innem nazwać nie można	„	18
	razem stronic	35

A zatem właściwie, dodatkowe działy w Niwie obejmują siedem razy więcej jak dział naukowy, i to najjaśniej wskazuje wartość numeru i sposób zapatrywania się Redakcyi na Niwę jako pismo naukowe.

Nie, panowie Redaktorzy, tak idąc dalej nic nie zrobicie, pismo padnie własną waszą nieoględnością. Chcecie służyć nauce, dajcie ją, wszakże przed trzema laty po ogłoszeniu prospektu Niwa zwabiła kilkanaście setek prenumeratorów, więc byli tacy co chcieli uczyć się i byłoby ich coraz więcej przybywało, gdyby rzeczywiście w piśmie zaprenumerowanem znalezli ową tak upragnioną naukę. Jeżeli trudno o oryginalne, prace, dawajcie tłomaczone ze wszystkich europejskich języków, w tylu przeglądach i dziełach corocznie mieszczące się, ale przedewszystkiem wyrzućcie powieść i Sprawy bieżące, korespondencye zaś i kronikę zagraniczną dawajcie petytem na ostatnich stronicach.

O powieść bądźcie spokojni, konieczna ona w Tygodnikach, ale pismo naukowe bezpiecznie może się bez niej obejść. Kto predumeruje Niwę ta dla nauki nie dla powieści, bo tych znajdzie dosyć w innych czasopismach.

Jeżeli pójdziecie drogą wskazaną, jeżeli wybór będzie trafny w doborze artykułów, jeżeli rozbrat weźmiecie nie z zadaniami fizyologicznemi, ale z wnioskami czysto materyalistycznemi z nich wywodzonemi jeżeli zachowacie cześć, jak sami powiadacie w przedmowie, dla uczuć i zasad na rodzinnym gruncie wyrosłych, za powodzenie ręczę, ale trzeba umieć czekać i być cierpliwym, w przeciwnym razie wszelkie wysiłki i odezwy nic nie pomogą: dwom panom służyć nie można, i trzeba wybrać albo naukę albo lekką literaturę.

Surowy ten bez grzecznostek i przymilania się ale sprawiedliwy sąd o pierwszym numerze Niwy, jest pierwszym, inne pisma unikając go ograniczyły się na prostej wzmiance o jego wyjściu pod nową Redakcyą i kilku słowach uznania i zachęty. Jest to błąd a z błędu nic dobrego nie powstaje, obałamuca się nim tylko publiczność i Redaktorów.

Lepiej przestrzedz zawczasu i udzielić radę, jak później wystąpić z naganą gdy już czasu do poprawy braknie.

Prawdziwy przyjaciel zawsze uprzedza, może uwagami swemi nie spodobać się, nawet pogniewać, ale na to zważać nie powinien. Obłuda to nie jego sprawa milczenie i zręczny układ kilku słów niby coś a nic nie mówiących, jest nią właśnie. Mieliśmyż więc milczeć gdy rzecz dotyczy dobra pisma, które całemu krajowi ma nieść pożytek?

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek